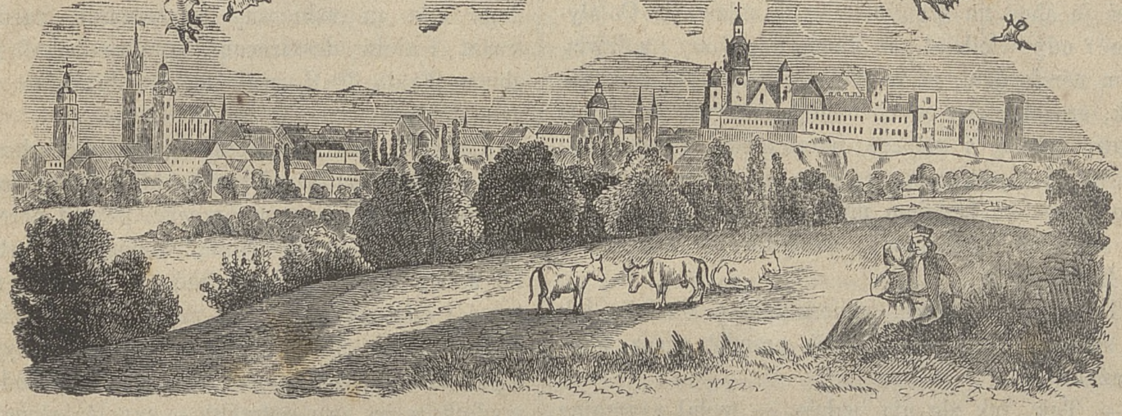
Nr. 19. Październik. 1862.

WIENIEC



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniéj 2ch arkuszy—do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła.— Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.,—rocznie 4 Talary.— Prenumerować można w **Redakcyi** w Krakowie przy ulicy Szerokiej pod L. 486 **Isze piętro** — w **Ekspedycyi** dziennika **„Czas“** i w księgarni **Grzybowskiego.**— Miejscowi odbierać mogą **Wieniec** w Ekspedycyi „Czasu.“-- **Listy niefrankowane nie przyjmują się.**

DZIADUNIO do DZIEWIC POLSKICH.

List VI.

Odczytawszy właśnie w ostatnich dwu numerach Wieńca ustęp „Niewiasta-Polka“, gdzie autor jego radzi, żeby zaprowadzono i dla was kochane wnuczki moje, publiczne nauk wyższych wykłady— zasiadłem z świeżo nałożoną lulką przy trzaskającym piecyku, by pomysł ten rozebrać w mej myśli obszerniej. Gdy przyniesiono mi z poczty *Tygodnik Poznański* Nr. 40, a w nim korespondencyę z Kijowa, dotyczącą uniwersytetu św. Włodzimierza w tem mieście, gdzie pomiędzy innemi wyczytałem ustęp w tym rodzaju: „Do słuchania „lekcyi w uniwersytecie, przypuszczone są kobiety „na prawach studentów lub wolnych słuchaczy. „Kompetentni twierdzą, że kraj nasz zrobił tym „sposobem olbrzymi krok na drodze postępu.“ Tu przypomniałem sobie, że zeszłej zimy słyszałem czy czytałem także coś podobnego w pewnej korespondencyi z Paryża— a że wszystko cokolwiek ma stosunek z dobrem i losem waszym lube wnuczki moje, zwraca i zajmuje szczerze moję uwagę; więc porzucam na chwilę ciepły piecyk, spieszę do mego biórka— i póty przerzucam moje szpargały, stós dzienników etc., aż odszukałem z nich jeden z roku ubiegłego, z następującem sprawozdaniem jednego z rodaków, zwiedzającego tę stolicę świata: „Wysokie stanowisko (pisze tenże „podróżujący) naukowe i społeczne, jakie szano„wny nasz ziomek p. L. Wołowski pracą i rozu„mem pozyskał, jest dla każdego z nas chlubą „przed obcemi a mianowicie przed Francuzami „niełatwemi do uznania zasług cudzoziemca. Pod „powagą tedy tego słusznie cenionego vice preze„sa tutejszego *Towarzystwa Ekonomistów świata*, „zostałem doń wprowadzony i byłem w możności „bliżej przyjrzeć się sposobowi działań tegoż To„warzystwa, które mnie szczególnie zajęło powa„gą i wytrwałością swoją bez żadnych wymuszo„nych utrudnień - tu obecny światłem i praktycz„nym rozprawom jego zgromadzonych członków, „byłem świadkiem, jak z nich jeden dowodził obszer„nie o potrzebie wykładów *ekonomii politycznej* „*przy wychowaniu kobiet*, to jest o potrzebie wpro„wadzenia tej nauki do żeńskich zakładów wy„chowania nietylko rządowych, ale i prywatnych!“

Otoż to pomyślałem, wszystko jest woda na jedno i to samo koło — gdzie w jednym przedmiocie poczynają pojawiać się i przemawiać głosy z wielu tak oddalonych i ledwo nie przeciwnych stron razem— tam zapewne brak i potrzeba musi być istotną i pora też do zaradzenia jej dojrzałą...

gdy dumanie moje przerwał gość wchodzący, mój dobry przyjaciel pewien poczciwy szlachcic podkarpacki. Po pierwszych tedy przywitaniach, wzmiance o tem co nas wszystkich najwięcej dziś zajmuje: o polityce i finansach— wreszcie o przebytych żniwach i ukończonych zasiewach— i cóż tam słychać u was jeszcze— pytam go— co porabiają twoje panie Macieju, czemuż nie przywiozłeś je choć na tygodniówkę do miasta?..Co słychać? odpowiedział pan Maciej napyżony i z drwiącym uśmiechem; ot w miejsce gospodyń, żon, córek, szczebiotek, co choć tam człowiekowi nieraz głowę ususzą i kieszeń przetrzebią, to przecież znowu i rozweselą czasem i pocieszą wśród kłopotów — będziem mieli niedługo poważnych i nudnych mędrców, medyków i astrologów w krenolinach!.

Tak źle nie będzie, pocieszałem p. Macieja, jak ty sobie w twej uprzedzonej przedstawiasz wyobraźni.

— Tak, tak źle nie będzie — wołał zżymając się coraz więcej— ten przemądry sąsiad mój literat L. co im tam zawsze znosi książki i nowości niepotrzebne — przysłał im kiedyś i ten dziennik, co to niby opisuje wzorki robót;— a tymczasem zamiast je nauczyć jak się oczka nawłóczą na druty, żeby zrobić ojcu na zimę skarpetkę lub ciepły kaftanik, to im się każą uczyć jakichś tam psychologij, medycyn, astronomij czy gastronomij! a potem nastąpi już chyba koniec świata!.— Wolno Maciejku, wolno— rzekłem, kładąc rękę na jego ramieniu— ty za gorąco rzecz tę bierzesz — ten ktoś, nie radzi tam wcale, żeby kobiety uczyć szczegółowo i w całości tej lub owej z nauk tam podanych; — chce on tylko i uznaje dziś za potrzebne, żeby dać im pewne o nich wyobrażenie, z obszerniejszem zastósowaniem wyjątków z tych umiejętności, które mogą im być pożyteczne i przydatne w ich przyszłym zawodzie.

Tak rozmawialiśmy jeszcze dosyć długo i żywo— aż w końcu pan Maciej udobruchany— opowiedział mi o pewnej dziewicy z pod Karpat pannie H.S. córce tamtejszego szlachcica-rolnika, wykształconej, umiejącej się znaleźć w salonowem towarzystwie, znanej z stroju nie zbytkowego ale świeżego i wdzięcznego zawsze,— która z wyznaczonej od rodziców na swe potrzeby pensyjki miesięcznej, tyle umiała oszczędzić grosza, że zapustoszałą od dawna we wsi sadzawkę wyczyściła, urządziła i zarybiła własnym nakładem. Na jaki zaś cel dochód ztąd odniesiony obrócić zechce, to później zobaczymy.

Poczciwy Maciej widząc radość, jaką mi sprawiło opowiadanie jego, tej pierwszej podobnoś u nas próbki przemysłu w praktyce, a jako jego podstawy: oszczędności niewieściej— opowiedział mi jeszcze o pewnej pannie Z. B. mieszkance jednego z wschodnich obwodów Galicyi, a krewnej jego, która posiadając wraz z matką dostateczny majątek na swe utrzymanie, wstręt ma wyraźny do wszystkiego, czy to w ubraniu własnem, czy w urządzeniu i ozdobach nawet pokojów — co nie jest przyrządzane w domu a nawet po większej części jej własnemi rękami — zaś każdego lata za uzbierany i starannie zasuszony kwiat i zioła dostarczane aptekom okolicznym, zbiera 20 do 30 fl. wal. austr. obracając je na cele dobroczynne.

Niesąż to dwa przykłady godne naśladowania, lube wnuczki moje? Każda okolica i miejscowość choćby najuboższa, ma przecież pewne przedmioty, z jakich korzyść ciągnąć można;— trzeba tylko umieć się na nich poznać, w nich się rozpatrzyć i odpowiedni zrobić zeń użytek. Działając w ten sposób nie jedna z was, mając przyjemne i pożyteczne oraz zajęcie, oszczędziłaby rodzicom wydatków na swe potrzeby— zamożniejsza przyspożyłaby dochodu biednym, a każda z was poznałaby obcą jej dotąd przyjemność, odniesienia własną pracą i przemysłem pewnej korzyści.

Co zaś do nauk wyższych, nim wznowiciel tego pomysłu poda nam i obiecany na później sposób urządzenia z łatwością podobnych wykładów, niechajby treść tych nauk zebraną w jednę sporą księgę, podano wam tymczasem jako *Czytanie świąteczne*, o potrzebie którego czytałem niedawno rozprawę w Wieńcu znanego theologa *) zaś przedmioty i nauki gospodarcze, niechajby stanowiły drugą domową i podręczną dla was księgę.

NIEWIEŚCIA SIŁA.

Szkic powieściowy

przez M. Bałuckiego.

IV.

(Dokończenie.)

A teraz inny obrazek odsłonię przed wami — na poważne, posępne cienie feodalnej dumy, rzucę kilka jasnych promieni, czyli po prostu mówiąc, zawiodę was do Zielonej Wólki. Ojciec wyjechał z domu załatwić przesyłki pieniędzy i żywności do obozu—panie co dopiero wróciły ze wsi, gdzie zanosiły pomoc i pociechę tym rodzinom, których mężowie i synowie poszli na wojnę, i w domu niespoczęły chwili: usiadły w gronie dziewcząt dworskich, szyjąc bieliznę dla wojska, dziewki

---

*) Ks. W. S. Nr. Wieńca 12.

skubały szarpie dla szpitalów, i wśród rozmów pełnych nadziei, oczekiwań, wśród modlitw i pracy, prędko czas mijał. Panna Aniela schylona nad robotą, zamyśliła się czegoś bardzo. Śliczneż bo to było dziewcze ta panna Aniela. Nie była podobną ani do Zosi pana Tadeusza, ani do naszych Wand i Marylek — owszem blada, podłużna twarzyczka, otulona jasnemi włoskami, miała w sobie coś niepolskiego, mglistego, osyanicznego, a przecież duszka tego dziewczęcia była na wskroś polska, pełna hartu i najdelikatniejszych odcieni uczucia, wesela, aż do pustoty i smutku, aż do łez gorzkich. Od nocy listopadowej Aniela żyła ciągle gorączkowem, pospiesznem, nienaturalnem życiem: śmiała się, radowała, to znów trwożyła matkę i siebie smutnemi domysłami, a zawsze myśl jej uciekała ku Warszawie i ucho pilnie słuchało wieści z tamtych stron, i niepokoiła ją ta cisza, spokój armii, i z wyrzutami i niecierpliwością co dzień mówiła: „czemu się nie biją?“ Matka obawiała się o swą jedynaczkę, żeby ciągłe nastrojenie duszy, ciągłe czuwanie i praca, nie nadwątliły i tak już słabego zdrowia; ale Aniela z każdym dniem była zdrowsza, i nawet lekki rumieńczyk okrasił bledziutkie lica. Widać, że tej duszce potrzeba było ognia do życia, zapału do zdrowia, że jej nie było przeznaczone więdnąć w ciszy, jak kwiatkowi bez słońca.

Wieczorem ojciec powrócił z miasteczka i przywiózł wieść o zwycięztwie pod Grochowem. Była to pierwsza większa bitwa, pierwsze zwycięztwo. Aniela zakrzykła z radości i rzuciła się na szyję ojcu, matce, potem domowników ściskać poczęła; a gdy pierwsza chwila radości przeminęła, uklękli wszyscy przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, oświeconej lampką migotliwą i modlili się, dziękując Bogu za odniesione zwycięztwo, a prosząc o nowe, o inne. Ale Aniela jeszcze jednę cichutką modlitwę dodała — niezgadniecie o co? ona modliła się za Władysławem, by go Pan Bóg wśród kul zachował. Ona nie mogła przypuścić, że Władysław został w domu.— Więc Aniela kochała Władysława?— On wątpił o tem— ja niewiem, a Aniela przyznać się nie chciała; ale trzeba wierzyć, że go kochała, bo pamiętała o nim, bo się za niego modliła.

Tymczasem ojciec Anieli poszedł do księdza proboszcza, by się z nim jeszcze nacieszyć wesołą nowiną i zamówić na jutro dziękczynne nabożeństwo.

Tę noc całą prawie niespała Aniela. Przemarzyła ją, przedumała w najpiękniejszych dumach. Huk armat, zwycięzkie marsze, bohaterów czoła uznojone walką, opromienione wygraną, plątały się jej po głowie, z pośród nich widziała rannego Władysława (z małą ranką) wesołego, myślącego o niej. O! już z raną, choćby z małą, koniecznie go widzieć chciała i prawie bała się tego, żeby bez blizny wrócił do niej. I czułe duszki mają pewne okrutne zachcenia. I roiło sobie dziewcze dalej, jak Władysław ze skruchą do niej powróci i przeprosi za ostatnią niegrzeczną wizytę i niegrzeczniejsze rozstanie się, a ona mu wtedy powie z powagą udaną: „przebaczam!“ To przebaczam wymówiła Aniela tak głośno, że się aż matka zbudziła.

— Ty nie śpisz jeszcze?— spytała ją.

— O! nie mamo, ja nagradzam zwycięzców — rzekło dziewcze roskosznie.

— Śpij kochanko, bo na jutro będzie twarzyczka blada i oczka zmęczone, toby ojciec zburczeć gotów.

— Kiedy doprawdy nie mogę skleić oczu, tak mi dużo myśli po głowie chodzi. Ale i tobie się pewnie niechce spać, nieprawda mamo? — zapytało swawolne dziewcze—ja pójdę do ciebie i będziemy rozmawiać o naszych, o nim. Tak mało miałyśmy czasu wieczór.

I nieczekając odpowiedzi matki, wyskoczyło dziewcze bosemi nóżkami z łóżka i poleciało do mateńki na gawędkę.

Długo w noc gawędziły obie i uradziły w końcu, że trzeba jutro w kościele zbierać składkę i przesłać ją do Warszawy na wdowy poległych pod Grochowem. Uspokojone, ukołysane tą myślą, usnęły wreszcie.

Na drugi dzień był ruch wielki w Zielonej Wólce. W kościelnej wieżycy biją w oba dzwony — gromady ludzi czernią się po drogach, a wszystko płynie ku kościołowi i niedługo taki tłok i ciżba ludzi, że cmentarz i kościół pełny niemi. Ksiądz wikary wyszedł na ambonę, ogłosił ludowi zwycięztwo—potem mówił stósownie do okoliczności: o niewoli Babilońskiej, o wyzwoleniu z niej Żydów, a mówił tak pięknie i rzewnie a prosto, że lud cały jak bóbr się rozbeczał, i sam ksiądz od łez kazania skończyć nie mógł.— Toż kiedy potem ksiądz proboszcz wystąpił z sumą i lud śpiewać począł, to wszystkie głosy także były drżące od wzruszenia, tak gorąco prosiły pana Boga, że choćby kamienne serce, drgnąćby musiało, i choćby bezbożnik — to się modlić musiał.

Szczególniej lud wiejski z całą gorącością modlił się o zwycięztwo dla polskiej broni, bo pan M. uroczystą przysięgą mu przyrzekł zniesienie pańszczyzny i wolność; a lud wierzył panu, bo go nigdy nie zawiódł.

Wśród tłumu ludu klęczała Aniela z matką. Rączki białe nabożnie złożyła, oczy błyszczące łzami, trzymała utkwione w twarz Bogarodzicy, i

modliła się długo, bardzo długo tą wielką modlitwą bez słów, bez pamięci ziemi. Potem podniosła się i wziąwszy w rękę tacę, szła między tłum zbierać składkę.

Szlachta, mieszczanie i chłopi rzucali obficie grosz na tacę; lada chudzina wyszukał w kieszeni ostatni grosz, bo jaki taki miał czy krewnego, czy znajomego w wojsku, a nikt niewie, na czyj dom sieroctwo i wdowieństwo spadnie.

Aniela drżącemi rękami trzymając tacę, szła, dziękując dobroczyńcom. Tak doszła do wielkiego ołtarza. Pod ścianą w honorowej ławce siedział młody hrabia Władysław z matką. Widząc zbliżającą się Anielę, zadrżał z radości i wzruszenia, marzenia o świetności losu daleko go odleciały w obec tej, którą czuł że kochał. Nigdy niewydawała mu się tyle piękną, ile teraz, gdy natchnienie i zapał polki opromieniły jej twarz.

Wydobył pieniądze i czekał na nadchodzącą.

W tej chwili Aniela podniosła oczy i spotkała się z ciemnemi oczami Władysława. Silny rumieniec oblał twarz Anieli; ale to nie był rumieniec, jakim miłość krasi twarz młodej kobiety— to był rumieniec oburzenia, a jasne oczy łysnęły wzgardą.

— Pan tu?— rzekła z mocą, że aż ksiądz proboszcz obejrzał się od ołtarza— to haniebnie! — dodała, i odepchnąwszy od tacy jego rękę wyciągniętą z pieniędzmi, odwróciła się i drżąc cała weszła do zakrystyi.

Władysław zakrył twarz przed oczami ludzi — matka ściągnęła gniewnie brwi.

Poważne uroczyste „Te Deum“ zakończyło nabożeństwo— lud rozszedł się z kościoła, radząc i rozprawiając

---

Władysław z matką w milczeniu wracali do domu. Oboje uczuli nazbyt swe upokorzenie, by mogli o niem rozmawiać. Za przyjściem do domu, Władysław uciekł do swego pokoju, matka usiadła do czytania listu, który zastała za powrotem. List był od jennego z krewnych, który wzywał jej syna do Warszawy. „Jest to chwila, były słowa listu, w których stare imiona prawa swoje odziedziczyć powinny i zająć wyższe miejsca, by się na nie nie wdzierali ludzie bez przeszłości i imienia.“ Hrabina rozpogodziła posępne czoło — zadzwoniła. Weszła młoda służąca; hrabina bowiem przekonana, że Jakób dla korzystniejszego miejsca służbę u niej porzucił, nieprzyjęła także usług poczciwej Grzegorzowej, i nową przyjęła służącą.

— Proś panicza do mnie!

Służąca odeszła. Za chwilę wszedł Władysław. Dziwnie był zmieniony, rysy twarzy przeciągły się od wewnętrznej zgryzoty; ale w twarzy było jakieś postanowienie silne, męzkie, poważne.

— Jestem matko!

— Usiądź— rzekła hrabina— dostałam list od naszego kuzyna, pisze mi, że cię czeka zaszczytna posada w ministerstwie spraw zewnętrznych, i dla tego niezwłocznie trzeba ci się stawić w Warszawie — czytaj.

Syn wziął list — odczytał go uważnie, potem złożywszy, oddał matce.

— Dobrze matko, pojadę do Warszawy, ale nie żeby pióra temperować—pojadę zaciągnąć się do wojska.

Matka spojrzała się niedowierzająco na syna; ale uwierzyć musiała, tak nieodwołanie, spokojnie, to postanowienie wypisało się na smutnej twarzy.

— Nie, ty niepojedziesz, ty niemożesz tam jechać — mówiła z mocą, a trochę z prośbą — w chwili, gdy świetny los otwiera się dla ciebie w obu stolicach. Ty niebędziesz miał tyle okrutnej odwagi podeptać upornie najpiękniejsze marzenia twej matki!

— Czy niebędzie dla ciebie, matko, dosyć szczęścia usłyszeć, że twój syn spełnia sumiennie obowiązek, jaki ma dla własnego kraju?

— Więc stanąć w szeregu, wśród motłochu na pierwszy lepszy strzał ty nazywasz spełnieniem obowiązku? Niech się lud bije — tacy, jak ty, rozkazywać i rządzić powinni.

— Dosyć matko; widzę, że mało zabolała cię hańba, jaką mnie dziś obrzucono.

— Hańba, że tam jakiejś dziewczynie niespodobało się, żeś nie poleciał tam, gdzie jej bratu lub ojcu słusznie stać należy.

— Mniejsza o to— przerwał z goryczą syn — z czyjej ręki wyleciał policzek — ja go czuję i słuszność jego czuję— i bić się iść muszę — rzekł ponuro ale spokojnie. O gorzko, okropnie matko, opłaciłem zbytnie posłuszeństwo tobie— niepomyślałem, że czasem w takiem posłuszeństwie grzech spoczywa. Więc iść muszę....

— Zakazuję ci tego— rzekła z ogniem hrabina— pod utratą błogosławieństwa matki ci zakazuję— rozumiesz?

Syn nic nieodpowiedział— milcząc ucałował ręce matki i odszedł — a odchodzący łzy miał w oczach.

Późno w noc świeciło się w jego pokoju—hrabicz przeglądał broń zostawioną mu w spuściźnie po ojcu.

Rano już Władysław był daleko od białego dworku i od matki swojej.

V.

Tego samego dnia, w którym Władysław opuścił matkę — Aniela siedziała w swoim pokoju smutna, przygnębiona wczorajszą sceną. Żal było

patrzeć na ten powiędły kwiatek, złamany wczoraj bolesnym zawodem. Ona sobie Władysława wymarzyła w poetycznej główce bohaterem, a zobaczyła niewieściucha, do którego znajomości teraz bez wstydu przyznać się niemogła — i było młodej duszce tak, jak oczom, gdy blask zgaśnie w który się wpatrzyły. Gorzko bolało dziewcze i gorącą główkę oparło o zmarzłe szyby—aż szyby roztajały i przez mały ten wygląd zamigotały uschłe drzewa na podworcu ubielone śniegiem. Anielka mimowoli rzuciła oczyma na podwórko ku bramie, i zobaczyła tam jakieś zbiedzone chłopczątko, idące nieśmiało i powoli ku dworowi. Wybiegła ku niemu z jałmużną. Ale chłopie nie o jałmużnę wyciągnęło rękę, jeno podało jej w szmatę zwinięty papier.

— Od kogo? — spytała Anielka.

— Taj niewiem panienko — rzekło chłopczątko, kłapiąc od zimna zębami.

— A któż ci dał ten papier?

— Jakiś panicz panienko, przyszedł nockiem do naszej chałupy, co stoi w lesie—a miał pistolety i pałasz — napisał przy ogarku to pismo, dał mi złotówkę i kazał zanieść do Zielonej Wólki:— tak panienko—i znów skłonił się do kolan. Anielka rzuciła oczami na list (czegoś drżała cała, z przeczucia czy z zimna — z zimna może, bo wiatr dąć zaczął) spojrzała na list, pisma nieznała—adres był do niej. Poetyczna główka Bóg wie jakie tajemnice marzyła.

— Idź do kuchni, ogrzej się i zaczekaj na odpis— wszak kazano ci czekać na odpis.

— Na odpis— ba, a dla kogóż panienko, kiedy ten panicz jak przyszedł tak poszedł.

Anielcię zaintrygowała ta tajemniczość. Poleciała z listem do matki — otworzyła. W liście było: Pani! przypomniałaś mi gorzko mój obowiązek, idę go spełnić choć późno — idę bez błogosławieństwa matki, wbrew jej zakazu. Niech to wróci mi choć odrobinę twego szacunku. *Władysław.*

Aniela po przeczytaniu spojrzała na matkę wielkiemi oczyma, z których biło teraz całe szczęście, wielkie, bezmierne, bez słów. Długo tak stała, potem łzy tłumem spłynęły z oczów, wielkie łzy szczęścia jak deszcz przeplatany promieniami zachodzącego słońca.

— Mamo, on poszedł! — krzyknęła i poczęła matkę z radości całować.

Jeszcze nieochłonęły obydwie kobiety z pierwszego wrażenia, kiedy do pokoju wszedł pan M. z smutną twarzą— zawołał żonę na stronę i tłumionym głosem mówił:

— Czy wiesz kochanie, że hrabina dziś z rana niebezpiecznie zachorowała, — syn gdzieś znikł w nocy.

— On do Warszawy, tatku, pojechał — rzekła z radością Aniela, której cienkie uszka podsłuchały nowinę.

— Chwała Bogu; ale do nas teraz należy opiekować się jego matką.

— Mamo! jedźmy do niej w tej chwili — ona teraz potrzebuje bardzo pomocy i pociechy.

— Tylko ostrożnie, moje duszki — mówił pan M.— bo to dumna kobieta, choć dusza nie zła— więc ostrożnie i z taktem trzeba, żeby ją nieobrazić. — Niezwłocznie kazano zaprzęgać do sanek, i obie panie pojechały do białego dworku hrabiny.

~~~~~~

Rzeczywiście hrabina po ucieczce syna niebezpiecznie zachorowała. Kiedy jej przyniesiono list, który zostawił dla niej w swoim pokoju na stole— odeszła od przytomności, z trudem się jej dotrzeźwiono. Potem silny krwotok rzucił się ustami i nieprzytomność często wracała. Kilka godzin okropnie ją zmieniły — twarz wyschła jeszcze bardziej wpadła i oczy czarne zapadłe gorączkowo, szpitalnie błyszczały. Mimo to, z zaciśniętych ust ani jedna skarga nie wyszła, z oczów ani jedna łza nie pociekła. W całej niej nie było widać bólu matki, jeno głęboko uczutą obrazę.

Kiedy Aniela z matką zajechały przed dworek, hrabina miała się już nieco lepiej — tylko kaszel mocny, od ktorego żyły na szyi jak powrozy nabrzmiewały, męczył ją. Usłyszała turkot i drgnęła cała.

— Kto przyjechał? spytała żywo wchodzącej sługi.

— Jakieś dwie panie.

Skrzywiła się niemiło hrabina — ona w głębi duszy miała nadzieję, że to syn jej wrócił. Upuściła znów głowę bezwładnie na poduszki i niechętnie rzekła:

— Idź spytaj co za jedne i czego chcą — musiały się pomylić.

Niedługo wróciła służąca i oznajmiła.

— Pani M. z córką.

Z furyą podniosła się hrabina na te słowa, wyprężyła rozkazująco rękę:

— Wyrzucić!

Krzyknęła z taką siłą, że stojące w sieni kobiety nie mogły niesłyszeć. Obie spojrzały na siebie, wstyd i oburzenie miały na twarzy i obrażone tem niespodziewanem przyjęciem, zabierały się do odejścia, kiedy w pokoju usłyszały krzyk służącej, wzywającej ratunku.

Aniela w obec tego krzyku zapomniała obrazy i w jednej chwili była już w pokoju u łóżka hrabiny. Hrabina leżała bez przytomności— długiego trzeba było czasu, zanim się jej dotrzeźwiono. — Aniela trzymała jej rękę w swojej, ściskając mocno i całując — tym uściskiem chciała ją do ży-
~~~~~~

cia przywrócić— pani M. nacierała skronie octem. Hrabina wreszcie otworzyła oczy, spojrzała, wyrwała swą rękę z rąk Anieli— odsunęła panią M. i cichym ale dobitnym głosem rzekła pogardliwie:

— Precz!

Anielę nieodstraszyły te słowa— wytłumaczyła sobie boleść opuszczonej matki i jej gniew — a widziała ją tak słabą, więc odejść nie mogła. Ale hrabinę zbyt mocno drażniła obecność kobiet, odwróciła się do służącej i rzekła z naciskiem:

— Każ im, niech odejdą— rozumiesz?

— Pani! — rzekła Aniela, biorąc jej rękę — pozwól...

Hrabina wyrwała znowu jej rękę i syknęła prawie, tak mało głosu było w jej piersiach — syknęła:

— Podła kokietko— przeklęłabym cię, gdybyś choć tego warta była.

Aniela zerwała się w ogniu cała, chwyciła matkę za rękę i zawołała:

Chodźmy.

— Czy poszły?— spytała hrabina służącej.

— Już pani.

— Wykadź po nich pokój.

Drżąca, wzruszona, oburzona siadła Aniela do sanek. Kiedy pierwsze wzruszenie przeszło, łzy puściły się jej z oczów, oparła rozpaloną główkę na ramieniu matki i mówiła skarżąc się:

— Słyszałaś mamo, ona mnie przeklinać chciała!....

— Niebój się moje dziecię, mówiła pani M. całując ją w czółko— nie z każdych ust przekleństwo ma posłuchanie u Boga.

Tak zajechały przed ganek, gdzie ich czekał pan M.

— I cóż? jak się ma hrabina?

Kobiety weszły z nim do pokoju i opowiedziały wszystko.

— Spodziewałem się tego, moje kochanie, bo znałem z tej strony hrabinę. Ale was to odstraszać nie powinno. Ją duma obłąkała, a obłąkanych ratować trzeba, choć się rzucają na tych co im pomoc niosą. Więc moje duszki, miłość własna na bok, a jutro trzeba wam pojechać znowu, i gdy wasza obecność drażni ją— to niepokazując się jej, czuwajcie nad nią.

Tak się stało jak pan M. radził. Na drugi dzień rano znowu sanki leciały ku białemu dworkowi hrabiny. Przed dworkiem stała służąca i milcząco przywitała panie z Wólki.

— I cóż pani hrabina?— spytała Aniela schodząc ze sanek.

— Dziś o trzeciej z rana skończyła — rzekła dziewczyna i weszła z niemi do pokoju.

W pokoju na łóżku leżał trup hrabiny. Światło gromnicy migotało po żółtej twarzy— w kościstej zaciśniętej ręce trzymała list syna — a na czole spała jeszcze ta boleść, z którą konała dumna kobieta.

Aniela z matką uklęknęły u jej łóżka, modląc się za spokój jej duszy.

VI.

Przeskoczę kilka miesięcy. Szły one długo, ciężko, wśród tysiącznych wypadków, które nadzieję i trwogę siały po domach — każdy zna z opowiadań te chwile, więc niech słucha tradycyi, zanim pieśniarz jaki milczące usta otworzy i z siłą to opowie. Dla naszej powiastki wypadki te wielkie są tłem, na którem szkicują kilka charakterów — wielkim akordem, przy którym słychać słabą piosnkę kilku serc. Pominę więc całą wielką dramę powstania, i dochodzę do ostatniego aktu — do *Września.*

Na tle słychać ostatnie pomruki politycznej burzy— wzięcie Warszawy zaciemniło horyzont nadziei— w Zielonej Wólce smutek głęboki, ale i wielka rezygnacya, bo wiele wiary było w poczciwej rodzinie.

Pan M. co dzień wyjeżdżał do miasteczka po nowiny. Każdą nitkę nadziei skwapliwie chwytano w Zielonej Wólce rozprzędano na wielkie rozmiary, z każdego słabego zwycięztwa pojedynczych garstek, wróżono sobie podniesienie sprawy; ale niestety, coraz głębsze, smutniejsze tony odzywały się.

Jednego dnia wrócił pan M. z miasteczka i doniósł żonie i córce, że oddział jenerała pod którym służył Władysław, jutro ma stanąć w miasteczku.

— Więc w tych stronach bić się będą? — zawołała żywo Aniela.

— Nie, moje dziecko — rzekł smutnie pan M., oni nie o biciu się myślą, ale o przejściu granicy.

— I ich nie wstyd tego? — spytało dziewcze z oburzeniem.

Pan M. rozśmiał się litośnie.

— Moja Anielciu, gdyby każdy z winnych zarumienić się umiał, gorącoby było w Polsce od samych rumieńców.

Biedna Anielka tak nizko spadła ze szczytu najpiękniejszych marzeń. Ona roiła sobie, jeżeli nie zwycięzców, to bohaterów, co pięknie skonać umieją i w małej garstce rzucają się w oczy wrogom, jeszcze rozpaczą straszni, a tu widziała tłumy zdrowego żołnierza, co milczkiem, bez strzału uchodziły z kraju, by w obcej ziemi złożyć broń i żyć żebranym chlebem. Zgorzkniało dziewcze od tych myśli. Może fałszywie rozumowała, darujcie jej— ona niemiała dyplomackiego rozumu, miała serce tylko i tem czuła.

Na drugi dzień pod wieczór część wojska zbliżała się do Zielonej Wólki. Pan M. wyjechał naprzeciw— pani M. krzątała się koło wieczerzy— Aniela niemogła jej w tem zajęciu dopomódz — zbyt była pod wrażeniem chwili. Siedziała w oknie patrząc na drogę, i mokrą od łez chusteczkę trzymała w rękach. Głos bębnów i trąbek coraz się zbliżał— Anieli serduszko dygotało z silnego wzruszenia— za chwilę miała zobaczyć Władysława— to była jedna jaśniejsza myśl na smutnem tle jej smutku. Wojsko weszło do wsi— pojedyncze oddziały przechodziły koło dworu, ułańskie chorągiewki migały za sadem. Dziewczęciu ledwie oczy niewyskoczyły z głowy— tak się zapatrzyła cała. „Mój Boże" — mówiła — tyle broni, tylu ludzi zmarniono!

Przed dworem stanął sztab oficerów. Wszyscy dorodni, ładnie ubrani, tylko dziwiło Anielę, że na ich twarzy niema wstydu, ani nawet smutku. Mocnoby nad tem bolała, gdyby czas miała; ale teraz myśl czem innem była zajęta i oczy niecierpliwie szukały kogoś. Zgadniecie kogo. Ale Władysławá nie było w gronie oficerów— on pojechał na grób matki. Wrócił dopiero wieczorem i wszedł prosto do pokoju państwa M. Anielkę gorący oblał rumieniec, nieśmiała podnieść oczów a przecież rada go była zobaczyć. I rzeczywiście było na co patrzeć. Obozowe życie z wątłego hrabicza, zrobiło czerstwego, pełnego siły i życia mężczyznę— twarz ogorzała, na niej ciemny wąsik się rysował, a głęboki smutek jaki miał teraz w oczach wracając od grobu matki, podnosił nieskończenie tę piękność.

Krótkie, lecz serdeczne było jego powitanie z państwem M. Do Anieli zbliżył się nieśmiało, wziął z drżeniem jej rękę i spytał:

— Panno Anielo, czy wolno mi prosić cię o zapomnienie kilku ciemniejszych chwil z mojej przeszłości?

— Wolno — rzekła Aniela z uciechą, i ścisnęła dłoń jego.

Władysław usiadł i poczęła się w saloniku rozmowa o ostatnich wypadkach. Władysław malował je żywo, dosadnie, nie szczędził i czarnych farb, bo chciał odmalować prawdę. Westchnienia kobiet przerywały czasem jego opowiadanie. Kiedy skończył, pan M. wstał, przeszedł się po pokoju i cicho narzekał.

Boże, Boże! jak tu ma być dobrze, kiedy do starych grzechów tyle świeżych brudów się dorzuca.

W saloniku jakiś czas była cisza, cisza smutku.

Niedługo potem pana M. wywołano z pokoju. pani M. krzątała się koło zastawy wieczerzy — Władysław więc z Anielą trochę w półcieniu, zostali pod oknem sami.

— Jakżeż się pan zmienił — zagadnęła Aniela nieśmiało.

— Opalił — rzekł Władysław dowcipnie z miłym patrząc na nią uśmiechem.

— Ja niemówię o zewnętrzności, ja czuję, żeś pan na duszy teraz inszy— nieprawda?

— O! prawda, pani, czuję teraz że żyję—a to mogę tylko tobie zawdzięczyć.

Wziął ją za rękę.

— Anielo! gdyby wypadki niewyganiały mnie z kraju, — czuję, że byłbym najszczęśliwszym z ludzi.

Aniela zapłoniła się znowu.

— Nie mówmy o tem panie — jesteśmy pod wrażeniem zbyt strasznych wypadków, abyśmy o sobie myśleć mogli.

W tej chwili głośne śmiechy doleciały ich z oficerskiej kwatery po śmiechu — żołnierska wyuzdana piosenka. *)

Aniela zmarszczyła brwi, ścisnęła silniej rękę Władysława, i szepnęła:

—Panie Władysławie— i to ci ludzie się śmieją z tego co stracili to, co człowiek ma najdroższego— jabym chciała uszom moim niewierzyć, Boże, żebym teraz słyszeć nie mogła! i zakryła twarz rękami— a po chwili rzekła:

— Panie Władysławie, idź im powiedzieć, że podli!

Władysław skoczył ku drzwiom, gdy wtem turkot bębnów i niezwykły ruch wojska na podworcu słyszeć się dały. Aniela niespokojna skoczyła ku oknu— w ciemnościach dojrzała jak ulicą topolową wojsko pospiesznie wychodziło ze wsi, na podworcu oficerowie uganiali się na koniach. Niezadługo Władysław wrócił.

— Co to?— spytała Aniela.

— Wojska nieprzyjacielskie za wsią atakują

---

*) Opis podobnego postępowania oficerów w pamiętnej walce 1831 r., wydać się może nie jednemu nietylko fałszem i przesadą, ale nawet potwarzą— a jednak niestety! wyznać musimy sami przed sobą tę smutną prawdę, że pomiędzy tylu wówczas bohaterami, znachodzili się niekiedy i tacy małoduszni i nieżołnierskiego wcale serca, byli to wprawdzie ludzie młodzi, do rzadkich wyjątków należący — owe lalki wypieszczone, co poszli za drugimi, (notabene w oficery) nie z własnego ducha i przekonania, ale dlatego, bo tak kazała im mama lub kochanka pod utratą czci w salonie lub w innych widokach — to też po kilko-miesięcznych upłynionych trudach obozowych, słyszano ich niekiedy wyrzekających niecierpliwie: „czemu się już ta komedya raz nie kończy!" to znów radujących się na przejście granicy, jako kres ostateczny tego mozolnego zawodu itp.— Jednak (powtarzamy) były to tylko wyjątki, choć pojawiające się w rzeczywistości. *P R.*

naszych — bądź zdrowa Anielo — odwrót nakazany.

Aniela chwyciła się za głowę— potem przypadła do niego.

— Władysławie nie uciekaj!— to brzydko.

— Anielo— nieprzyjaciel w przeważnej liczbie, śmierć nieochybna.

— Lepsza od hańby zbiega.

Władysława twarz zapaliła się odwagą.

— Dobrze Anielo— bohaterko moja.

Uścisnął ją i wybiegł — na dziedzińcu oficerowie w popłochu chwytali za konie— rozgrzanym trunkiem majaczały konie i ludzie. Władysław wpadł między nich:

— Koledzy! czy nie lepiej stawić się nieprzyjacielowi? — łatwiej się potem cofnąć z chwałą, gdy niemożebność oporu będzie.

Wszyscy głośnym śmiechem, inni grubem przekleństwem odpowiedzieli.

Władysław odwrócił się do żołnierzy:

— Żołnierze! co wolicie, czy śmierć na własnej ziemi, czy żebraczą włóczęgę po Niemcach?..

Przeważne głosy zawołały: Bić się będziemy! mało tylko za swemi oficerami poszło w ucieczkę.

Władysław uszykował swoich i czekał — łuna palącej się wioski oświecała ich. Niedługo głośne „urraha!“ nieprzyjacielskie zawyło. Na dziedzińcu dworu padły strzały i zaczęła się zacięta walka.

W kilka dni potem w lichej karczemce przy drodze wiodącej na Sibir — leżał młody oficer z podwiązaną ręką i raną na czole. Drugą ręką wspierał się na ramieniu kobiety pięknej ale bladej i w żałobie. Obok stała druga niemłoda już kobieta. To był Władysław ze swą żoną Anielą i jej matką. Krótka utarczka w Zielonej Wólce smutny miała koniec— pan M. zginął — Władysław ranny dostał się do niewoli.

Wszyscy troje patrzeli w oczekiwaniu ku drzwiom.

Wszedł kapitan.

— Pozwolono.

Aniela rzuciła się Władysławowi na szyję.

— Bogu niech będą dzięki!

Dziękowała Bogu, że jej z matką pozwolono dzielić los więźnia na Sybirze.

— Dziękuję wam — rzekł Władysław do kapitana.

Kapitan miał łzy w oczach.

— Żałuję was— rzekł poczciwiec.

— Nie żałuj kapitanie,— bo ja nigdy w życiu szczęśliwszym nie byłem—rzekł patrząc na Anielę.

KONIEC.

Z Album Pauliny z L. Wilkońskiej.

Świętych pamiątek tu takie mnóstwo,
Po którąż zwrócę mą rękę?—
Ja w piersi mojej czuję ubóstwo,
Żeby ją zakląć w piosenkę!

Czyli z trzech mogił gwoździki polne,
Czy kamyk z królów grobowca?
Czy drzew wiślańskich poświsty wolne,
Lub tęskną piosnkę wędrowca?

I myśl się moja chwieje w wyborze,
Nad Wisłą chmurno i smutnie, —
Lecz gdy różowe zabłyśnie zorze, —
O!.. to wnet nastroję lutnię!

Kraków 5 lipca 1844 r.

Wasilewski Edmund.

Porównanie — 28 listopada 1861.

Któż zgadnie, dokąd lot niesie sokoła,
Gdy po błękicie szybuje wysoko,
Rozpina skrzydła i krąży do koła,
I już go żadne niedoścignie oko?...

Kto? śród rozwalin, gdzie na słońcu drzymie,
Rozpoznał żmii manowce podziemne,
Kiedy zbudzona twą pieśnią pielgrzymie,
Zwinnie uchodzi przez nóry tajemne?

Wiesz-li, bieg łodzi po modrym krysztale,
Kędy bez śladu, przed burzą ucieka,
Żagle nadąwszy buja po nad fale,
A sterem boska kieruje opieka?

Choćbyś przewidział dokąd sokół goni,
Gdzie gad się kryje, gdzie czółno zawieje,
Nigdy, o mędrcze, wzrok twój nie odsłoni:
Jakie młodzieńca czekają koleje!

Karol syn Karola.

Korespondencya TOMASZA ZANA

XV.

DO MARYI PUTKAMER.

(Dokończenie.)

Pobożną pielgrzymkę pieszo odbywaliśmy mil siedm do Krasnego, gdzie sławi się cudowna figura

Ukrzyżowanego. W Bienicy otaczały mnie piękne, zdrowe, rozumne, pobożne i miłe dziatki Olimpki, którą mam za wzór dobrej córki, siostry, żony, matki, przyjaciółki, katoliczki, Polki, kobiety. Cały dom, którego jest duszą, ludny, zdaje się być świątynią pokoju, miłości, wiary, szczęścia domowego. W dobroci i życzliwości swojej, pragnęła mieć mnie jego świątobliwym członkiem, bez badań przenikając potrzeby mojego serca i umysłu, rozumiejąc cały stan moich okoliczności. Ośmielony tą jej przyjaźnią, wyznałem się być niedostojnym takiej wielkiej chluby, i ukazałem na sąsiadkę, która się mnie wydała być nastręczoną duchem rodziców moich.—Chętnie i skutecznie w tem mnie ze swemi siostrami dopomogła. To uczestnictwo Olimpki w postanowieniu mojem, uważam sobie za szczególniejsze błogosławieństwo. Oświadczenie moje nad spodziewanie nasze było przyjęte dobrze, z chlubą moją, z ukontentowaniem, jak mi się zdało, całej rodziny. Stanęło na tem, abym teraźniejszą służbę moję przemienił na jakową miejscową w kraju, a posag mojej narzeczonej obrócił na dzierżawę jakiego majątku dogodnego z tych, które niedawno postąpiły do skarbu. Uwiadomiłem o tem mojego naczelnika i łaskawcę Czewkina, i moję przyjaciołkę Helenę, i w początkach czerwca, wraz po odebraniu na poczcie pieniędzy i papierów przysłanych już do Oszmiany, udałem się w dalszą podróż po mińskiej gubernii, do brzegów Dniepra, od których miałem zamiar kierować się do brzegów Dźwiny, a ztamtąd przez Birże i Żmudź i Kowno do Wilna, gdzie mam zgromadzone kamienie do odesłania, u profesora Adamowicza. — U marszałka Osztorpa byłem bardzo grzecznie i łaskawie przyjęty, zwiedzałem z nim razem jego Dukorę, oglądałem jego stadników, pałac z malowidłami Damela i Peszki. Odkryłem karyerę wapieńca. Oświadczył mi życzenia i możność znalezienia w gubernii miejsca w zarządzie dóbr skarbowych, pod naczelnictwem pana Piszczały, a razem upewniał, że wszelkie znalazłbym ułatwienie; względność i pomoc co do wzięcia dzierżawy.— Ukraiński Radziwił szukał mnie w Annopolu, gdziem przybył odwiedzić ucznia mojego Poljanowskiego, i proponował mi, abym pod najkorzystniejszemi warunkami przyjął na siebie edukacyą jego jedynaka, którą życzyłby mieć należytą, krajową; obiecałem mu dać piśmienne w tej rzeczy rady i kogoś na miejsce moje wynaleźć.— Ztamtąd byłem u Mieczysława Swiętorzeckiego w Boratyczach, u brata mojej narzeczonej, gdzie obejrzywałem kopalnie wapna Łukaszewicza, Brodziec, fabrykę sukna w Brezynie Potockiego (Wąsowiczowej), odkrywałem rudę żelazną stron ihumeńskich. Z kolei byłem w Rawaniczach u Słotwickich, krewnych pani z Gieczewiczów Oskierczynej, gdzie zajmowałem się oglądaniem pokładów wapiennych i fabryki sukiennej; u Pławskiego, gdziem nalazł w gościnie moję bratową; w Kryczynie u Kukiewiczów, gdziem znalazł panią chorążynę; w Berczówce, gdziem znalazł Brygidę i liczne jej rodzeństwo, zgromadzone na pogrzeb jej bogatej babuni pani marszałkowej Swiętorzeckiej. Cały miesiąc mojej podróży w stronach mińskiej gubernii miałem tak dżdżystą porę i chłodną, że przybyłem tutaj wielce podupadający na zdrowiu, tak, że po kilku dniach przyjemnego tu pobytu, musiałem zaniechać dalszej podróży a postanowiłem powrócić do Ignacego kurować się.— Nazajutrz po przybyciu uszanowałem kochaną i czcigodną Jurakową, poznałem jej śliczną Zosię i ładnego też ostatniej narzeczonego pana Zawadzkiego z Galicyi. Obejrzeliśmy sąsiedni ich Darew, jeden z kapitalnych majątków do wzięcia, wstąpiliśmy do księcia Konstantego, poczem Ignacy zasadził mnie na lekarstwa i kąpiele, na całe trzy tygodnie, przez ciąg których, ani wizyt czynić, ani ich odbierać nie pozwala. Z takowego zamknięcia do ciebie piszę, poruczając interesa moich przedsięwzięć teraźniejszych dobrej waszej przyjacielskiej radzie i pomocy; a najbardziej modlitwom twoim i twoich dziatek osobę moję, i Brygidę, która chętnie się ofiaruje być szczerą służebnicą moich przyjaciół i ich dzieci, jako dobrowolna pomocnica w przenoszeniu krzyża, który mi Opatrzność w tem życiu przeznaczyła. Co tam z Kumką, panem Wawrzyńcem i Adamem moglibyście uradzić dla mnie stósownego co do dzierżawy jakiego wielkiego majątku, czy kupna jakiego małego majątku, niech będzie gotowo w końcu sierpnia, kiedy uzyskawszy zdrowie, da Bóg, mam zamiar przybyć do Wilna dla dalszego w tej rzeczy kłopotania. Niech będzie depozyt złożony u pana Wawrzyńca, i u Ciebie będzie na ten czas gotowy, albowiem będę bardzo potrzebny. Księżom proszę mnie modlitwom zalecić.

XVI.

DO BRYGIDY ŚWIĘTORZECKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya N. P. słowa Bożego i łaski Bożej Matka, nadzieja nasza.

Brygidzie, jej rodzinie, przyjaciołom i sługom, zdrowia i pomyślności życzy Tomasz Zan z Dołmatowszczyzny 1842 r. lipca 21 dnia.

Wczoraj ucieszyłem brata mojego swojem niespodziewanem przybyciem. Podróż miałem pomyślną, dzięki twojemu sprzyjaniu i nabożeństwu.

Wraz po naszem rozstaniu się wzbudziło się utęsknienie zwykłe ludziom pielgrzymującym, jedynakom, niemającym własnego stałego przytułku, ale to wyniosło duszę moję do Ojca naszego, który jest w niebiesiech, który z Opatrzności swojej w pobożnem sercu twojem zgotował dla mnie najwdzięczniejszy przytułek.— Nierozrywały mię okolice, które przejeżdżałem aż do Ili, gdzie miałem nocleg, bo były jednostajne, lesiste, głuche; lecz wciąż dźwięczały we mnie twoje rozpowiadania i pienia w Berezówce, milsze od szczebiotu ptaszął zwiastujących zejście najpożądańszej pory roku, od szmeru zdroju, przy którym strudzony podróżny znachodzi ustroń, ochłodę, wypocznienie. Zagłuszały one moję niespokojną troskę o zdrowie, dla ulepszenia którego tę wsteczną podróż przedsięwziąłem wbrew preciw uprzedniemu zamiarowi i przewidzeniom; tem bardziej, że tyle w tym przedmiocie ufam miłosierdziu Bożemu, o ile strapiony jestem, uważając go za dopuszczenie od Boga, który przez to ustrzega nas, abyśmy się nie omamiali ziemskim urokiem słodyczy, ogarniającej współczucia nasze i obecną ich pomyślność. Do Raduschowicz jadąc, miałem przed sobą rozleglejsze i weselsze widoki, przejeżdżałem Zaborze i Bakszty, majątki twojego rodzeństwa; przychodziły mi na pamięć dni wieku dziecinnego, w których temi stronami przewożony bywałem do szkół Mińskich. Znowu odczytywałem nagrobek dziada mojego Tomasza Zana, położony obok Stanisława Swiętorzeckiego nagrobku, który pamięci potomnych podany jest jako człek odznaczający się cnotami wojskowości i bezżeństwa. Przeniesieni do wieczności potrzebują pobożnych wspomnień i modlitwy żywych. Trafiłem na mszę śpiewaną. Modliłem najbardziej o to, aby Bóg nas utwierdzał w cnocie przykładnej miłości, czci i pobożności ku naszym rodzicom, krewnym, przyjaciołom; abyśmy się stali dla nich pociechą w obecnem a zasługą w przyszłem życiu. Nienapróżno babunia twoja przy zejściu swojem o tobie pamiętała, bo dusza jej miała przeczucie, że jak skoro sama kierować będziesz swojem mieniem, cząstkę jakową zbioru tobie naznaczonego obrócisz na czynienie modlitw za jej duszę, poruczając ten obowiązek jakiej najuboższej staruszce, któraby mogła mieć na utrzymanie się swoje dozgonne opatrzenie. — Na nieszporach już byłem w Rakowie, rad jestem, żem tę drogę wybrał, bo miałem wzgórza u źródeł rzeczek Wiazynki, Swisłoczy, Usłoczy, Usy, wpływających do Wilii, Berezyny, Niemna. Nieraz wysiadałem rozpatrywać kamienie.

Nocowałem w Kojdanowie. W dzień św. Eliasza poczta już leciałem do Niemna lasami po piasku, mając nad sobą niebo pałające, błękitne, za sobą i przed sobą wiarę i nadzieję, których ty jesteś przedmiotem i pobudką, w myśli modły, w sercu wdzięczność; nie mówię nic o miłości, bo to jest stan uczucia i błogosławieństwa, który wyrazem określić się nie daje. Ze Swierznia odkryła mi się żyzna i wesoła Nowogrodzką kraina, którą tak lubimy. Odtąd brat mój zasadził mię na kuracyą, przez czas której ani wizyt czynić, ani ich przyjmować niemam. Będę się tylko zajmował wykończeniem naprzód obiecanej rozprawki o prawowiernym człowieku, potem listów, potem uwag o rodzaju powierzchni stron, które opatrywałem dotąd, a między tem rozdziałków ciekawszych z życia, którem się interesuje nasza przyjaciołka Olimpka z Przeździeckich Szmykowska. Oto masz rys życia, jaki przepędziłem od czasu rozstania się naszego; wierz jednak i bądź o tem przekonaną, że myśl moja i serce z osobami raz ukochanemi, do istnienia mego wciągnionemi, nigdy się nie rozstaje; one są przyczyną i celem wszelkich moich wzruszeń i zatrudnień zawsze i wszędzie. Przeczytałem z zamiłowaniem codzienne twoje notaty z życia kilkutygodniowego, kiedyście same zostawały; mają one żywy i wzruszający wyraz twojej czułości i pobożności, i przekonywają o tych zdolnościach i usposobieniach istności twojej, które serce moje przeczuło i ukochało. Serdecznie żal mi było trosk twoich i trwog bezskutecznych. Ponieważ się doświadczać mamy w prawdziwej nawzajem miłości i uczyć się rzetelnego święcie kochania się, rozumiem, że mile przeczytasz uwagi które się mnie nastręczyły w ciągu owego czytania, w czasie którego znajdowałem się w takowym przyjemnym stanie, jak kiedy słucham twojego szczebiotania, jakowe mam zwyczaj tobie przerywać. Starajmy się rzeczywiście być takiemi sami w sobie, jakiemi przez miłość i bojaźń bożą pragniemy być widziani, przeczuwani, rozumiani od innych nam osobliwiej ukochanych osób i bliźnich; a wtedy już niemamy czego się lękać o to, jaką postać i wyraz przyjęła nasza czułość, wyjawiając się w powitaniach albo pożegnaniach. Serce czujące prawdziwie, w sercu sobie odpowiednem równe znajduje współczucie mimo swej wiedzy, czyli się objawia w milczeniu lub słowie, w uśmiechu lub łzach, w żywości lub pokoju postawy. Wyjechałem od was z Malinowszczyzny, równie jak teraz z Berezowa, pełny wdzięczności za tę twoję gotowość poświęcenia darów twojego wieku, serca, położenia, zdolności, na uszczęśliwienie moj.; nie mógłem inaczej zapatrywać się na ciebie, jak na osobę z Opatrzności Bożej mi przeznaczoną do kochania, i raczej ją wznawiać w myśli i w pamięci, jak w obrazie najprzyjemniejszym. Z równie słodkiem uczuciem widziałem śmiech twój i łzy, wesołość i zasmucenie, witając się i żegnając — troszczę się tylko o to,

czemby się moje niedołęztwo przyczynić mogło do osiągnienia przeczystych widoków połączenia się naszego z chwałą bożą a dobrem tych, któremi nas wola boża otacza. Kochajmy, a o wzajemności wątpić nigdy nie będziemy w stanie. Nietroszczmy się o niepowróconem wczora ani o nieodgadnionem jutrze, używajmy obecnej chwili, czyniąc sami wedle wiary mocnej, nadziei pewnej, miłości doskonałej, to, czegobyśmy sobie najbardziej życzyli od bliźnich i oblubieńców swoich. Przełożywszy Bogu we zwyczajnej modlitwie strapienia, potrzeby i życzenia nasze, ufajmy, że uczyni nam lepiej, niźli my sami chcieć i znać możemy, jako najlepszy nasz ojciec i przyjaciel, i ułóżmy się do poddania zupełnego woli i rozrządzeniom jego, zajmując się wypełnieniem obowiązków które są na doręczu, sami własnem ćwiczeniem dopomagając do osiągnienia celu życzeń naszych. Wiesz o tem, że wtedy najbardziej czujemy nieupodobanie do ludzi, znajdujemy ich względem nas winnemi, kiedy się poczuwamy, żeśmy względem nich wykonywali same tylko obowiązki konieczności, nie zaś szczerego dobrowolnego krzyża. Sercu twemu poruczam także przyjaciół moich i cały ów rejestr panien pobożnych, cnotliwych i miłych, których pamięć serce me mile przechowuje. Błogosławieństwo boże niech będzie z nami, któremu ciągle ciebie i twoich poruczam.

XVII.

DO BRYGIDY SWIĘTORZECKIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka Łaski i Słowa Bożego P. N. uzdrowienie chorych. Brygidzie Tomasz zdrowia i pomyślności z Dołmatowszczyzny. 1842 Października 5.

Po wysłaniu ostatniego listu do ciebie zapadłem w słabość zapalenia mózgu, w której bez pamięci czasu i miejsc aż do dnia wczorajszego (dzień świętego Franciszka) kawęczyłem się napełniając przerażeniem dom brata mojego. Listy wasze, twoja przychylność, podarki, powołują mnie na nowo do życia i zdrowia. Chociaż doktorowie nie pozwolili mnie jeszcze pisać ni czytać, jednak nie mogę przenieść abym ci szczerze nie podziękował za tak obowiązujący, a tak w sam czas utrafiony dowód waszej względności ku mnie, który was ukochałem. Czułem przez ciąg cały mojego nadzwyczajnego cierpienia przez półtora miesiąca, że przyjaźnią wasza i modlitwami uratowany zostanę, — a gdy mnie wszystko choroba zabrała, czułem że mi pobożność i miłość zostaje. Dzięki Bogu że Olesia przyszła do stanu pierwszego zdrowia; te dopuszczenia Boskie są dla mnie nowym dowodem łaski Boskiej, albowiem w nich doświadczyłem wiary i dobroci mojej. Od chwili mojego poznania się z tobą kochana panno Brygido, nie miałem powodu najmniejszego lękać się o twoje serce, a mając swoje na straży i własnych uczuć pytając, zawsze byłem bezpieczny o twoje. Portret twój acz niepodobny, jednak mi ciebie przypomina: piękniejszą jesteś w oczach moich nieskończenie, i przyznać muszę, że codzień piękniejesz, kiedy ja przeciwnie przez chorobę stałem się wywiędły i skrzywiony— straciłem przez rzucanie się i zgrzytanie trzy przednie zęby, część głowy zapewne wyłysieje, a ostatek w kołtun się może zwije, jak życzy Ignacy. — Otóż masz portret twojego oblubieńca. Któż wie jeszcze, kiedy on przyjdzie do zupełnego wyzdrowienia. List ten piszę samem usiłowaniem wdzięczności i miłości, którą mam ku tobie, a która mnie ożywia i uzdrowi. Przez miesiąc zaledwie będę mógł wyjeżdżać; pierwszą moją pojazdką będzie was odwiedzić. Tymczasem proszę bądź spokojną i zachowaj się jak dotąd, pokładając całą nadzieję w Ojcu niebieskim, którego łaska za przyczyną Matki Niepokalanej jest z nami. Na wiązanie imienin twoich posyłam parę synogarlic i śpiewki przez Czeczota ułożone, które ja lubię; wybacz, że sekstern trochę zbrukany.— Całuję Olesię. Bratowa moja Kazimiera i pani Helena Malewska z Petersburga, siostra Mićkiewiczowej, córka Szymanowskiej, zaleca się twojej przyjaźni. W ciągu mojej choroby odebrałem listy od niej i od autora Obrazów Litewskich pana Ignacego Chodźki. Pan Aleksander Przeździecki będąc u Radziwiłłów, chciał się ze mną zapoznać, alem słaby przyjąć go nie mógł. — Całuję rączki i nóżki mamy.

XVIII.

DO ANTONINY Z RADZIWIŁŁOW JURAHOWEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Nieskończenie wdzięczny jestem czcigodnej pani dobrodziejce za łaskawą troskliwość o zdrowie i losy moje w sposobie udzielania mi wiadomości o zmianie postanowień pani Swiętorzeckiej względem mnie i panny Brygidy mojej najpóźniejszej przyjaciołki. W tem najbardziej mnie obchodzi jej zasmucenie i osób szczególniej nam życzliwych, ale powinienem łatwo się uspokoić gdy się zastanowię, że ona we mnie nie wiele traci, a oni przez to więcej zyskują, — że zrządzenia opatrzności muszą być dla nas ważniejsze niźli przedsięwzięcia naszej woli i przewidzenia naszego rozumu. Żal mi, żem nie miał tyle wysokiej i stanowczej dobroci, abym sam przeczuł, że po takiem

wstrząśnieniu zdrowia mojego, już mogłem nie być zdolnym odpowiadać widokom mojej narzeczonej i jej matki na przyszłość; żem sam ich nie uprzedził w cofnieniu naszej prostej a szczerej ugody, niezaprzestał kłopotów i starań czynionych dotąd w tej rzeczy. — Proszę pokornie pani dobrodziejki śmiało mi udzielić listów kochanej Olimpki Szwykowskiej, które są mi potrzebne jako nowe pobudki i stanowcze przyczyny do nowych i dalszych moich przedsięwzięć, skutek których powierzam woli powszechnego naszego Ojca w niebie, nadającej im bieg przyrodzony i koniec. — Szczerze mogę upewnić panią dobrodziejkę, której mniemania i uczucia jak najwyżej cenić przywykłem, że w tej odmianie myśli i zamiarów pani Swiętorzeckiej niczego nie tracę, nic się nie odmieniło w stanie serca i umysłu mojego w wewnętrznem i zewnętrznem położeniu i okolicznościach bytu i życia mnie przyzwoitego. Zyskałem zaś w ciągu tej sprawy na dowodach nieocenionych starej i nowej przyjaźni Olimpki, Brygidy, którą w dozgonnej pamięci przechowywać i nadal żywić miło mi będzie. Oczekuję co pocztę uwolnienia ze służby górniczej, powołania do nowej pod naczelnictwo pana Piszczały, zarządzającego dobrami skarbowemi gubernii Mińskiej; co odebrawszy, powinienem naprzód udać się do Wilna, dla odesłania ostatniego zbioru skamieniałości, a potem pomyśleć o podróży do kochanego pana Karola, o której od chwili mojego wyjazdu z Orenburga myśleć nie przestawałem, poruczając się równej jemu przyjaźni i łasce. Pani dobrodziejki zostaję na zawsze wielbicielem i sługą

Tomasz Zan.

1843 r. lutego 17.— Dołmatowszczyzna.

Z zapisków J. R.

młodego Krakowianina, ustępy o wojnie włoskiej 1859 r. niewoli we Francyi, i legionie cudzoziemskim w Algierze.

IV.

(Ciąg dalszy).

Między innemi, zaznajomił się ze mną także i komendant żandarmeryi departamentowy.—Zauważałem, że od pewnego czasu zaczął mnie i częściej odwiedzać, i przy każdem spotkaniu się zatrzymywał mnie; niby dla pogadanki wypytując, czy mi się podoba Francya? armia? to znowu: czy chętnie wrócę napowrót do służby czynnej? i t. p., nie domyślając się najmniejszego zamiaru, odpowiadałem na te wszystkie pytania stósownie do mego przekonania, nie chybiając przytem memu charakterowi oficera, co honor sztandaru swego jak to na żołnierza przystoi, acz jeniec wojenny, winien i w obec nieprzyjaciela z godnością przedstawiać — wszelako pan komendant jak się później pokazało, będąc przyjacielem ojca Jenny, widno wciągnięty przez nią do spisku nie poprzestał na tem, ale widno wziął się z całą gorliwością żandarma do dzieła; bo poruszył na mnie najprzód miejscowych rodaków bawiących w Laval, którzy zrazu zdaleka napomykali, a później otwarcie zaczęli mnie namawiać, abym z służby austryackiej kwitował i zaciągnął się do legionu cudzoziemskiego, będącego na koszcie Francyi — a gdy propozycye te z całą godnością, zaledwie nie oburzeniem odrzuciłem, w kilka dni odbieram list z Paryża w wyrazach pełnych uprzejmości od znanego jenerała B..... któremu niewiem dotąd prawdziwie, przez kogo polecony zostałem, a których imieniem księcia Czartoryskiego wzywał mnie, bym jako Polak przedewszystkiem, skoro mi do tego prawo przysluguje, moję rezygnacyę ze służby na ręce ambasady austryackiej do ministra wojny przesłał, a w to miejsce otrzymam w tym samym stopniu służbę w legii, do której właśnie zdolnych oficerów potrzeba.

Proszę sobie wyobrazić położenie moje — z jednej strony honor wojskowy i przeświadczenie wewnętrzne, że honor ten niepozwalał mi kwitować w kraju nieprzyjacielskim jeńcem jego będąc — ale z drugiej: ileż znów ponęty dla Polaka, ile uśmiechającej się przyszłości, ile pokus łechcących miłość własną młodzieńca nieznanego wcale, a przez takie figury znakomite prawie poszukiwanego! ach! przyznam się, że była to próba niemała i walka przeciwnych z sobą uczuć, z których i tą razą zwycięzcą niewyszedłem: bo w końcu zdecydowałem się rezygnacyę moję przesłać, a nie czekając już odpowiedzi, uwiadomiłem o mem postanowieniu poczciwego doktora Szwejgra, który nieomieszkał tej nowiny udzielić Jenny i jej ojcu; w parę tygodni otrzymałem list z Paryża od jenerała B.... z tym dopiskiem księcia Czartoryskiego, że jeżeli pragnę być umieszczonym w legii, mogę do ministerium na ich ręce podać o prośbę, a oni już biorą na siebie resztę; — jak kazali tak zrobiłem, a w miesiąc już niespełna mój komendant żandarmeryi z uroczystą miną i w wielkim uniformie wszedł jednego poranka do mnie i wręczył mi nominacyę na podporucznika do pułku legii włoskiej konsystującej natenczas w mieście *Bastyi* w Korsyce, dokąd niezwłocznie udać się miałem; — tak to zakierowała losem moim, pomimowoli przekonania prawie mego, jedna młoda dziewczyna; ale bo też tą młodą dziewczyną była Jenny, a do tego Francuzka! której siła woli i poświęcenia, tylko z wolą i poświęceniem naszych Polek równać się da — to też obie tylko

umieją odważnie łamać i zwyciężać największe trudności, i w końcu na swoim postawić.

V.

Saint Florent w Korsyce 31 grudnia 1859 r.

Dnia 13go października tedy opuściłem Laval. Rozstanie się z osobami, które w czasie mego tam pobytu tyle sympatyi, względów i grzeczności dla mnie okazały, dużo mnie kosztowało: bo czyż można było być nieczułym na dowody bezinteresownej przyjaźni, doznawanej od ludzi całkiem obcych, a którzy już od pierwszego prawie dnia umieli lub chcieli zrobić różnicę między mną a memi inszemi kolegami?. niedość, że w ostatnich dniach mego pobytu w Laval, literalnie wyrywano mnie sobie; ale w chwili, gdym już miał odjeżdżać, obszerna sala na dworcu kolei żelaznej napełniła się memi przyjaciołmi, z których każdy serdecznie ściskając mi rękę, życzył szczęścia w tym nowym mym zawodzie i żądał przyrzeczenia powrotu jeszcze w ich strony. Chcieć zaś opisać pożegnanie moje z Jenny? — to pióro moje zasłabe na to!. martwym literom nawet nie porucza się takich zwierzań serc, a niepokalanych żadną brudną myślą— sami nawet będąc, małośmy słów pożegnalnych między sobą zamienili, — ale— czuliśmy za to dobrze, że oboje bardzo cierpiemy!... a gdy z uderzeniem 9tej godziny dał się słyszeć dzwonek wzywający do odjazdu, ostatnie bolesne dla wszystkich i dla *niej* wyrzekłszy adieu!!.. skoczyłem do wagonu, aby ukryć niemęzką łzę, co mimo mej wiedzy i woli płynęła mi po policzku; czy dobra Jenny także kryła łzy swoje?. niewiem.— Przez Paryż i Lyon pędziłem znowu do Marsylii. W Paryżu w czasie mego dwugodzinnego tylko zatrzymania się, niepodobna mi było zrobić wizyty księciu Czar. i jenerałowi B.. w Lyonie przepędziłem noc; a 15 października wieczór przybyłem do Marsylii; — po raz więc drugi już miałem sposobność zwiedzić to wielkie zajmujące handlowe miasto Francyi, i jego prześliczne okolice, jednak mimo całego uroku, coś mi zawsze w duszy szeptało: że niema nic i milszego i piękniejszego na ziemi, nad brzegi ukochanej naszej Wisły!... Dnia zaś 18go odpłynąłem na statku parowym nazwiskiem „*Louise*“ do Bastyi — morska ta podróż, i nieprzyjemną i niebezpieczną nawet była — już w chwili odbicia z portu, gwałtowny wiatr z burzą zaczął kołatać naszym statkiem, niebawem rozhukane bałwany co chwila zalewały pokład okrętu, jednakże mimo tego, lubo cały zmoczony, trzymając się mocno liny, przetrwałem cały czas stojąc na pokładzie, a tęskny wźrok zwracając ku północno-wschodniej stronie, żegnałem w duszy wszystkich moich, na wypadek, gdybym tej nocy miał grób w toniach morskich znaleźć! wieczorem atoli morze się uspokoiło — a dnia następnego stanąłem na miejscu mego przeznaczenia — w porcie zastałem kilku oficerów, którzy mnie oczekiwali i tego samego dnia byłem przedstawiony nowym moim kolegom, którzy podobnie jak w Laval przychylnie mnie przyjęli. — Dnia 2 listopada przywdziałem po raz pierwszy uniform francuzki, zaś 3go przed frontem całego pułku, przy odgłosie bębnów i muzyki zamianowany zostałem z polecenia ministra wojny podporucznikiem 1go pułku legionów, i tegoż samego dnia zacząłem pełnić służbę, która jest dość trudną i bardzo się różni od austryackiej.

Jak wspomniałem, przyjęty zostałem przez kolegów z oznakami wszelkiej życzliwości, mimo to, że ciż sami walczyli z jednym batalionem mego dawnego pułku pod Magenta, w chwili bowiem, gdy reszta pułku *Jellaczic* z dwoma działami broniła wejścia w ulicę prowadzącą ku Buffalone, zamieniając strzały z 72 pułkiem liniowym francuzkim; o godzinie 5tej wieczorem, 1szy pułk legii zostaje panem kolei żelaznej, mając na swym czele pułkownika de Brayer, który pierwszy stanął na rynku i przez to odciął nam odwrót; była to właśnie chwila, kiedy nasze resztki mając przed sobą 72gi pułk a w tyle legion cudzoziemski, zostały zmuszone cofnąć się do domów: zamieniając każdy w fortecę. Tu to z 2ma oficerami obok mnie rannymi i z 178 ludźmi, dostałem się do niewoli! a kto się do tego najwięcej przyczynił?... oto ten sam 1szy pułk legionu, w którym później sam zostałem oficerem, a potem nie jeden z mych nowych kolegów, gdy mu moją smutną katastrofę opowiadałem, podawał rękę, prosząc o przebaczenie tej małej niedyskrecyi!.. zaiste dziwny zbieg okoliczności!!.

VI.

Konstantyna 18 marca 1860 r.

W pierwszych dniach marca, mój pułk niespodzianie otrzymał rozkaz odpłynienia do Afryki — dwie fregaty wojenne nazwiskiem *Descart* i *Vauban* zabrały nas w zatoce St. Florent, ażeby nas przenieść do *Philippeville.* — Czas był piękny; morze spokojne, ambarkacya trwała kilka godzin i każdy podziwiając cudny widok gór Korsyki, ozłoconych ostatnim promieniem zachodzącego słońca, oczekiwał chwili odjazdu; nareszcie wystrzał działowy dał znak do zwinięcia flagi, i w tej samej chwili, świst maszyn parowych i następnie lekkie kołysanie okrętu dało nam poznać, że płyniemy, i wyszedłszy z zatoki przy uroczym blasku księżyca, mijaliśmy zwolna brzegi ojczyzny

Napoleona I. Żołnierze, oficerowie, dzieci i kobiety stały na pokładzie, dopokąd chłód nocy nie sprowadził wszystkich do kajut. — Wsparty na burcie aż do późnej nocy bawiłem się rozmową z córką jednego kapitana — młode naiwne dziecko kazało mi sobie opowiadać różne szczegóły o naszej ojczyźnie, i czyniąc chwilowe swoje naturalne spostrzeżenia, przeplatało naszą rozmowę żartami i dowcipami; czasem, gdy mnie widziała zamyślonym, i że na jej dowcipy nieodpowiadałem, to swywolną rączką zrywała mi znienacka czapkę z głowy, czyniąc poruszenie, jak gdyby ją w morze wrzucić chciała. — Prawie ostatni zeszliśmy z pokładu, i oddawszy moją towarzyszkę w opiekę matki, której sen spokojny przerwaliśmy, wpiąłem się potem sam także do mego hamaku. Huk maszyny, trzask belek i pluskanie fal po ścianach okrętu nie dając mi usnąć: myśl moją zapuściłem w przeszłość, która aż tam gdzieś w rodzinnym spoczęła domku, obok alei mogilskiej, pod spokojnym dachem, co kryje wszystko to, co miłem i drogiem jest sercu memu!...

Noc przeszła spokojnie — ale nad ranem głuchy jęk w około mnie i nadzwyczajne kołysanie hamaku przerwało mój spoczynek, — kobiety, dzieci, słabsze natury jęczały, tarzając się konwulsyjnie skutkiem choroby morskiej — zarzuciwszy płaszcz na siebie, pospieszyłem na pokład — niestety! jakiż okropny widok! całe niebo pokryło się chmurami ołowianej barwy, horyzont okrągły zdawał się dotykać wzburzonego falami morza — statek, który wiózł za nami drugą połowę pułku, znikł nam bez śladu — byliśmy na pełnem morzu, pośród burzy grożącej co chwila rozbiciem, fale piętrzące się zalewały nam ciągle statek, któren jakkolwiek kolosalnej budowy, miotany bałwanami jak licha orzechowa skorupa, wzbudzał ckliwość i trwogę nawet w najmężniejszem sercu. — Gdy około południa wiatr i burza wzrastać poczęła, komendant fregaty niechcąc się narażać z kilkuset ludźmi na pewne niebezpieczeństwo, postanowił zwrócić ku najbliższemu brzegowi. — O z jakąż radością pozdrowiliśmy z daleka wynurzające się wybrzeża Sardynii, do której dążyliśmy szukając schronienia; tu w zatoce *Asinara* zabawiliśmy 24 godzin, oczekując zmiany powietrza; jakoż wiatr powoli nacichł — morze się uspokoiło cokolwiek, a nie widząc już niebezpieczeństwa, w dalszą puściliśmy się podróż, nie wiedząc jednak co się stało ze statkiem *Vauban*, co nam był zniknął z oczu nocy poprzedniej: nakoniec 9 lutego stanęliśmy szczęśliwie w porcie Philippeville, i tu zostaliśmy z daleka pozdrowieni przez naszych kolegów ze statku *Vauban*, którzy zatrzymywali się także w Cagliari, oczekując pogody. W Philippeville zostaliśmy wysadzeni na ląd z rozkazem udania się do Konstantyny, 4 dni marszu.

I tak naraz ujrzałem się w Afryce!.. a przecież zaledwo rokiem wprzódy ani byłbym pomyślał, że mój nagły wymarsz z Wadowic, był początkiem do tylu podróży i takich wydarzeń, a któremi mnie Bóg na długo rozłączył z ojczyzną i ze wszystkimi moimi!..

Och Afryko! moje pióro jest nadto słabe, aby cię mogło dokładnie skreślić — my dzieci północy wyobrażamy sobie, że w Afryce to wieczna wiosna, a jednak jeżeli ktoś z przybyłych do Afryki puszcza się w podróż bez welnianego kaftanika, bez dobrego zimowego paleta i ciepłych pończoch, ten pewnym być może spotkać się i ze śmiercią, i to po długich nieznośnych cierpieniach, na które go naraża nagła zmiana temperatury. W Afryce północnej zima panuje tak jak i u nas; z tą różnicą, że w przeciągu 24ch godzin, zimno podczas nocy dochodzi 6—8 stopni, rano i wieczór śnieg i deszcz pada, a w południe słońce pali tak jak u nas w czerwcu. Ta pora roku, która trwa 5 czasem 6 miesięcy jest bardzo niebezpieczną dla nowo przybyłych, ale i inne miesiące nie są milsze, podczas których słońce swemi prostopadłemi promieniami wysuszając potoki i rzeki, wszystko prawie w popiół obraca.

Od miesiąca jestem w Konstantynie. Już dawniej znałem cokolwiek to miasto z opisu — jednak ujrzawszy z daleka po raz pierwszy tę ogromną skałę ze ścianami prostopadłemi, u stóp których potok wody mętnej rozbijający się w kilkunastu kaskadach, przystęp, wyjąwszy z jednej strony, niemożebnym czyni; uznałem, że wszystkie opowiadania niczem są w porównaniu z rzeczywistością.

Na szczycie tej blisko 600 metrów wysokiej czarnej skały, wznosi się miasto — forteca — mieszanina domów europejskich i arabskich, po nad któremi piętrzą się wieże z krzyżem, i minarety półksiężycem błyszczące. Ile razy znajduję się zewnątrz miasta, jakieś nieme wrażenie ogarnia moje serce — i podziwiając naturę i Tego który zdziałał coś podobnego; wielbię zarazem żołnierza francuzkiego, który idąc w ślady Rzymian, dwa razy szturmował i zdobył to prawie w powietrzu wiszące gniazdo dzikich Arabów, którzy tem są dla Francyi, czem Czerkiesy dla Rosyan. Francuzi zdobyli Algieryą, pozakładali Kolonie; mimo tego niema roku, któryby się obszedł bez ekspedycyi, bez kampanii, przeciwko zbuntowanym synom wolności — którzy niewiele mając do stracenia, bo tylko życie, w nadziei wiecznego szczęścia po śmierci (podług koranu) dają sobie tu i owdzie hasło powstania, niszcząc wszystko co obcem jest i tylko ze śmiercią oddają w ręce nieprzyjaciela

te góry, które są ich ojczyzną. Obecnie słychać, że z początkiem miesiąca ma wyruszyć przeciwko Kabylom część załogi tutejszej. Ekspedycye w tym kraju bez wody, bez lasów i wiosek są niezmiernie utrudzające, jednak żołnierz francuzki w Afryce staje się prawdziwym żołnierzem. Lekka kapota jest jego jedynym mundurem w zimie i w lecie— karabin, 60 ładunków, tornister, na którym nosi mały namiocik, kociołek miedziany, manierka z wodą i wiązka drzewa; w tornistrze zaś obok bielizny: suchary, mięso, sól, kawa i cukier w ogóle wszystko co jest koniecznem, ażeby nie umrzeć z głodu i z nędzy w pustyni; gdzie czasem w przeciągu jednodniowego marszu ni wioski, ni domu, ni drzewa nie widać: Nie jeden obcy jenerał za głowęby się schwycił, na widok człowieka tak obładowanego, a jednakże ten z kawałkiem suchara i z kwaterką czarnej kawy goni dzień cały, nucąc piosnkę o ojczystym kraju.

W takiej armii to służę — i nieraz potrząsam głową z pewnym rodzajem wstydu na wspomnienie przeszłości.

Nasz ubiór jest ten sam co ubiór pułków liniowych w kompanii. Lekki kaszkiecik czerwony, nazwany Képis z galonkami złotemi, mundur ciemno granatowy ze złotemi epoletami od parady, albo bez epoletów, tylko z oznakami stopnia na rękawach— nakoniec spodnie bardzo szerokie z sukna czerwonego.

Mój żołd dochodzi do 165 franków na miesiąc to czyni prawie 66 złr., jednak wydatki są niezmierne, i mimo, że żyję bardzo oszczędnie—moje długi przewyższają blizko 6 razy mój dochód miesięczny, dlatego też mieszkam z jednym z mych kolegów podporucz. Buat, z którym się dosyć lubimy.

(C. d. n.)

RÓŻNE RZECZY.

Dzieło p. J. Simon pod napisem: Robotnica, podaje zajmujące obrazy stanu i położenia kobiet we Francyi zarobkujących na własne utrzymanie. Smutne i przerażające jest proste opowiadanie p. Simon, mianowicie kiedy przedstawia stan wyrobnic w zakładach fabrycznych. W Lugdunie w fabrykach wyrobów jedwabnych, dziewczyny na sta i tysiące liczące się, mające lat 13 do 18 pracują 15 godzin dziennie, od kwadrans na 6tą zrana do kwadrans na 9tą wieczór, z przerwą niespełna dwóch godzin na posiłek i uporządkowanie gospodarstwa. W Paryżu życie dziewczyny zarobkującej nie jest szczęśliwsze, a wszakże p. Simon utrzymuje, że niema istoty wstrzemięźliwszej, cierpliwszej, że nawet zarzut rozwiązłości jest przesadzony i zupełnie niesłuszny, że i owszem dziwić się należy, jak mało dziewcząt ulega pokusom tak silnie rozwiniętym. Przyznaje autor, że los wieśniaczek jest nierównie szczęśliwszy, a lubo obraz zakładów wsparcia robotnic przedstawia pocieszające dowody czynionych usiłowań dla polepszenia bytu tej zajmującej części ludności, jednak zagadnienie co do stanu kobiet wyrobkiem trudniących się, pozostaje jeszcze do rozwiązania.

† *Nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Ludwika Kondratowicza* (Syrokomli) odbyło się w Krakowie w dniu 11 października w kościele św. Anny, z pięknemi męzkich głosów śpiewami.

Czasopismo dla młodzieży nowe p. t. *Oświata* ma wychodzić w Pradze pod redakcyją Ferd. Szulca a nakładem Dra. Gregra i Szymaczka. *Oświata* będzie podawać wiadomości historyczne, geograficzne, ethnograficzne, nauk przyrodzonych, literatury, umiejętności i pedagogiki.

W okolicy Olkusza (w Królestwie Polskiem) odbyły się w tym miesiącu zaślubiny przejeżdżającego malarza z guwernantką. Oboje państwo młodzi byli ewangielickiego wyznania, i oboje przed ślubem przeszli na katolickie — a to z powodu, iż nowożeniec będąc wdowcem, przyrzekł swej pierwszej małżonce przy skonaniu, że przejdzie na jej to jest na katolicką wiarę: — i tak w przeciągu dni ośmiu zaledwo, nastąpiło za koleją poznanie, oświadczenie, zmiana wiary i zaślubiny tej pary.

Jarmark z dniem 12tym października skończył się dwutygodniowy świętomichalski w Krakowie. — Kupcy narzekali, że mały mieli odbyt; tymczasem w mieście a szczególniej w rynku i w ulicy Grodzkiej taki bywał ruch w tych czasach i tak wiele widzieliśmy obcych osób kręcących się za sprawunkami, że trudno przypuścić, ażeby jarmark źle się miał powieść. Osobliwie też kupcy z płaszczami, odziewkami, mantylami i paltotami rozmaitego rodzaju, kroju i ozdoby, najlepsze porobić musieli interesa. Niemniej i futernicy a szczególniej p. Armatys, w którego eleganckim i zamożnym magazynie można dostać nietylko bogate tumakowe lub sobolowe salopy, grubą materyą i aksamitami pokryte— ale również i tańsze futra, z pokryciem z materyi wełnianej, z kołnierzem i mankietami piżmakowemi itp. modnie a przytem wygodnie odrobione, — kupowano je tam niżej sta złr. w. a.

Przedsiębiorcy i rękodzielnicy narzekają na brak odbytu, a jednak co chwila przybywa to sklep, to magazyn nowy— ot na jednej ulicy Szerokiej powstały w jednym prawie dniu, i to obok siebie: traktyernia, sklep szewski i magazyn strojów pod *Polką*, gdzie można dostać dosyć gustowne a niezbyt drogie kapelusze jesienne i zimowe, czepeczki negliże, czarne lub białe, ubrania głowy i kołnierzyki, lub też obstalować według woli i życzenia. A są tam i z Wiednia sprowadzone modele. — Wiele przybyłej

do Krakowa na nauki młodzieży z innych ziem polskich— wiele też w przejeździe z kąpiel zatrzymujących się tu osób dla zwiedzenia osobliwości tego miasta tak ludność jego pomnożyły, że po hotelach trudno dostać miejsca, a jeszcze trudniej znaleźć większe pomieszkanie do najęcia na zimę.

Ambona p. Tabulskiego. — Temi dniami oglądaliśmy w pracowni p. Tabulskiego tutejszego majstra stolarskiego przy ulicy św. Jana, osobliwość prawdziwą pod względem misternego wyrobu stolarszczyzny, świadczącą zarazem o guście, wysokim talencie a mianowicie cierpliwej wytrwałości naszego artysty. — Osobliwością tą jest to kolosalna ambona, w stylu czysto gotyckim zbudowana. Podstawę czyli właściwą kazalnicę stanowi olbrzymi kielich z dębowego drzewa wytoczony, w którego bokach, w niszach, filgranową łuczystą robotą wyrzezanych; umieszczono do koła apostołów prześlicznie odrobionych, zaś baldach nad tym kielichem zda się, że strzela gdzieś tam w niebiosa! tak lekko zawieszony, piętrząc się w górę mnóstwem iglic i wierzyczek, a wszystkie cudnemi siatkami, koronkami i rozetami zdobne tak, że oko patrzącego utrudza ta mnogość nagromadzonych tu piękności.—W pośrodku tych strzał i wierzyczek, widno figurę Zbawiciela z globusem w ręku. — Wyraz twarzy tak Chrystusa jak i apostołów, odznaczają się estetyczną czystością i wykończeniem prawdziwie artystycznem—rzeźbił je p. Kornecki. Całość ta z dębowego drzewa, naturalnym kolorem powleczona kosztowała p. Tabulskiego wraz z dwoma czeladnikami 3 lata wytrwałej i ciągłej pracy: przeznaczona ona była początkowo do jednej z trzech naszych właśnie odnawiających się świątyń: do Franciszkanów, Dominikanów lub św. Katarzyny, — i zaiste tym nabytkiem Kraków zyskałby jednę z cenniejszych nowożytnych ozdób; — tymczasem z żalem dowiadujemy się, że p. Tabulski nie mogąc się w miejscu rodzinnem o cenę ułożyć, zamierza ze swoim znakomitym dziełem wybrać się za granicę w nadziei, że tam u obcych lepiej mozolną pracę jego ocenić zdołają!...

W dniu 13 b. m. zmarł tutaj po niedługiej słabości Józef Mączyński, były oficer wojsk polskich w 55 roku życia— znany autor opisu Krakowa i okolic, i wielu artykułów umieszczanych w Feuilletonie „Czasu“, tyczących się najwięcej dawnych zabytków starego naszego Grodu w wyszukiwaniu których zmarły był niezmordowanym.

Po usunięciu się ś. p. Hilarego Meciszewskiego od Dyrekcyi Teatru, jakiś czas objął takową na siebie, w którem to przedsiębiorstwie większą część majątku stracił.—Przedwczesny zgon jego, wywołał powszechny żal w Krakowie.

Drób na zimę. Przyjęty od dawna w Anglii środek przechowania drobiu bez kosztu na zimę, poczyna się i po naszych miastach upowszechniać, i zalecamy go naszym czytelniczkom z dwóch powodów: raz, że im to taniej wypadnie a powtóre, że będą mieć w potrzebie na zawołanie drób kruchy i miękki. Teraz podkarmione kurczęta, kapłony, pulardy, gęsi, indory itp., gdy pierwsze chwycą mrozy, zabić: wyjąć wnętrzności, wypłukać w środku, nakłaść tam jałowcu i zaszpilić— i taki drób w pierzu nieskubany powieszać na sznurkach u banta na strychu, każdą sztukę z osobna.

Gdy w zimie przyjdzie potrzeba pieczenia, kładzie się tę sztukę do zimnej wody, żeby zamróz wyszedł, potem oskubać, posolić, obsmarować masłem z kilkoma ziarnkami jałowcu (kto lubi) i dać do gorącego piecyka, żeby się nagle upiekło a nie spaliło; bo pieczony za wolno w lekkim piecu, kruszy się i rozłazi.

Kwaszenie kapusty w wodzie. Podobnie jak ogórki tak i kapustę z wszelkiem bezpieczeństwem i bez wielkich zachodów kwasić można w wodzie, a to w sposób następujący: Po nakładzeniu i ubiciu kapusty jak zwyczajnie w beczkę, zaraz i z drugiego końca zadnić beczkę i to tak szczelnie, żeby nigdzie szparki nie było — a gdzie tylko byłoby podobieństwo do niej, zalać gorącą żywicą lub smołą; i tak opatrzoną beczkę wpuścić na dno wody. — Po sześciu tygodniach dobyć beczkę, odjąć dno wierzchne, ustawić jak zwykle w piwnicy, a będzie smaczna i jędrna kapusta; ma doskonały zapach i kolor żółty aż do wiosny a nawet i do nowej kapusty. Gdzie woda jest dostatecznie głęboka i niema obawy, że lud do dna samego dostanie na mrozach— to można w miarę potrzeby po jednej tylko beczce dobywać, a resztę i do wiosny pozostawić w wodzie.


Na oparzenie środek najpewniejszy: mydlinami gęstemi potrzyć oparzone miejsce — jeżeli rana jest lekka, to pomaczać mydło i ranę namydlić — jeżeli głębsza i bolesna, to zrobić prędko mydliny i posmarować piórkiem zaraz po oparzeniu.

Czyszczenie plam na czarnej wełnianej materyi. Ugotować gęste mydliny z *deszczową* wodą — brać po trosze na wełniany płatek, i nacierać plamy na czarnem; potem drugim czystym płatkiem wełnianym wycierać te mydliny na plamie— to powtarzać, dopóki plama nie zejdzie, a potem prasować z lewej strony wyczyszczoną materyą gorącą duszą. Tak nietylko wywabi się plamy, ale materya czyszczona w ten sposób, nabiera lustru.

Drugi sposób czyszczenia plam nietylko na czarnej i wełnianej ale i na jedwabnej materyi: Kroplami zwanemi *Benzyna*, które bierze się w aptece, maczać gąbkę w kroplach i nacierać lekko w jednę stronę plamę, a potem drugą czystą gąbką lub szmateczką płócienną maczaną w czystej letniej wodzie wymywać tę plamę napuszczoną *bezyną*, dopóki nie zejdzie— poczem przesuszyć, a jeżeli potrzeba się okaże, to przeprasować przez czysty papier.

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“ —Rząd. drukarni ANT. ROTHER.

WIENIEC. Wrzesien' 1862.





Explications.

Corsage dit *Marguerite de Bourgogne,* s'exécutant en taffetas, moire antique d'été, pekin, ou piqué, nankin et toiles chinoises ; au bas des coutures où il se trouve des lettres correspondantes le corsage reste fendu et forme des petites pointes ; le tour de chaque pointe et des coutures, sauf celles du dessous de bras et des pinces, se brodent en soutache. L'encolure doit être également brodée ou bien ornée de trèfles en taffetas découpé ou de passementerie genre bijouterie. Si la robe n'est pas en soie, l'ornement en soutache suffit.

N° 1. Devant.
N° 2. Dos.
N° 3. Petit côté du dos.
N° 4. Dessus de la manche.
N° 5. Dessous de la manche.